



## **MOKOTOWSKA 5 – HISTORIA JEDNEGO DOMU I JEDNEJ RODZINY**

ś. p. Sylwia (ur. 1932 f.) i Marek (brat, ur. 1935 r.) Dobrowolscy<sup>7320</sup>  
Wspomnienia z wojny i Powstania Warszawskiego – dla tych co odeszli

## MOKOTOWSKA 5 – HISTORIA JEDNEGO DOMU I JEDNEJ RODZINY

o p. Sylwia (ur. 1932 r.) i Marek (brat, ur. 1935 r.) Dobrowolscy

Wspomnienia z wojny i Powstania Warszawskiego – dla tych co odeszli

### WSTEP

Urodziłem się (Marek) w kwietniu 1935 roku. Na rękach Matki byłem na pogrzebie Marszałka Piłsudskiego. Potem wojna, Powstanie, kult jednostki, Wałęsa, niepodległość i starość. Do końca Powstania mieszkaliśmy na Mokotowskiej 5, mieszkania 4, pierwsze piętro. Z okien salonu i pokoju dzieciennego widać było piękne klony, na krótkim odcinku Mokotowskiej od Polnej do Placu Zbawiciela, i szkołę Wawelberga. Obok pod numerem 8-ym stał i stoi wysoki budynek, z którego ktoś lał kubkiem wodę z poddasza na szkołę Wawelberga, gdy podpalili ją Niemcy w czasie Powstania w 1944 r. .



*Rys.1. Mokotowska 5 – balkon, z którego żegnaliśmy ojca we wrześniu 1939r.; obok Mokotowska 8, w głębi Kościół Zbawiciela*

W wrześniu 1939 pocisk trafił w trzecie piętro oficyny, eksplodował na drugim piętrze nad nami zabijając 8 osób, w tym całą rodzinę Pana Redlicha, a ruiny i szczątki zabitych spadły nam dosłownie na głowę. Byliśmy z matką, babcią i siostrą w pokoju jadalnym od podwórka, nad którym, piętro wyżej nastąpił wybuch i śmierć. Nam z siostrą nic się nie stało, bo byliśmy, za karę, posadzeni w kątach pokoju na nocnikach, babcię zraniło nieco w głowę („krwią się zalała”), matka szydełkując na kanapie ocalała cudem.



*Rys.2. Ślad po zamurowanym wlocie pocisku na trzecim, przedostatnim piętrze.*

Za ten cud i za nasze ocalenie, mama podarowała Matce Boskiej w kościele Zbawiciela sznur pereł, który dostała od ojca. A ojca już nie było, żegnaliśmy go z balkonu od Mokotowskiej, kiedy z wujkiem – bratem matki, inżynierem z Polskich Zakładów Lotniczych – szykowaliśmy się do wyjazdu z Warszawy aby wrócić do niej, jak mówili, za kilka dni, jak tylko sprzymierzeni dadzą Adolfowi łupnia.

Ojca zobaczyliśmy dopiero za 6 lat, kiedy wrócił z zachodu w 1945 roku. Wujka Adasia dużo później.

Pan Redlich, oficer Wojska Polskiego, nieszczęsny Ojciec rodziny rozszarpanej przez pocisk piętro nad nami, wrócił na Mokotowską 5 przed pójściem do oflagu. Wskazano mu groby na trawniku przed szkołą Wawelberga, gdzie pochowano szczątki jego rodziny w kilku pudełkach od butów.

Zaliczamy się do rodziny mającej szczęście. Nikt z najbliższej rodziny nie został zabity, dom na Mokotowskiej 5 jak stał tak stoi, nawet nie był spalony, ani po wojnie otynkowany, bo właściciel do dziś go nie odzyskał. Ułatwia to pisanie tej kroniki i robienie zdjęć, w stanie oryginalnym, z czasów powstania; jeszcze odłamki tkwią w futrynach.

Po wojnie, rzeźnik Bie. zajął nasze mieszkanie i nigdy już do niego nie wróciliśmy. Aż dopiero teraz, wracam tam i wspominam, pobudzony 60-cioletnią rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego i biegiem umykających lat.

Obecnie, po zrujnowaniu budynku Mokotowska 1 na rogu ulicy Polnej („Siudecki”), podwórko domu Mokotowska 5 wychodzi na Rondo Jazdy Polskiej. Przedwojenne, zamknięte podwórko wyszło na otwartą przestrzeń. Na podwórku widać ślad po starej, zaasfaltowanej na gładko studni. Podczas Powstania Niemcy ostrzeliwali z granatników to miejsce na podwórku, gdzie często stał ogonek ludzi z wiaderkami, czekających na zaczerpnięcie wody.

### PRZED WOJNA

Nasza Matka, Maria Kazimiera, pani inżynierowa, która dla mojego Ojca Zygmunta była zawsze Marianną, miała do pomocy bonę do dwojga dzieci, no i służącą do sprzątnia i gotowania. Była jeszcze dochodząca praczka do balii z wyzmaczką. Do noszenia i suszenia bielizny na strychu. Na Mokotowskiej 5, do mieszkania nr 4 wiodą dwie klatki schodowe: frontowa i kuchenna. Bielizna na strych noszona była tylko tą kuchenną. Inkasent z gazowni i elektrowni też przychodził klatką kuchenną, jak również inne służby. Klatka frontowa ma piękne, marmurowe schody, mahoniowe balustrady i malowidła na ścianach. Wejście do niej znajduje się w ozdobnej bramie z secesyjną, żeliwną kratą i pozostawało niegdyś pod czujnym okiem pana Jana, dozorcę, spoglądającego przez małe okienko wewnątrz bramy.



*Rys.3. Brama i wejście z bramy do frontowej klatki schodowej na Mokotowskiej 5*



Schody kuchenne są drewniane (skrzypią) i wchodzi się na nie od podwórka. W podwórku - studni otoczonej oficynami jest garaż, w którym mój Ojciec, dyrektor w firmie spawalniczej „Perun” na ulicy Grochowskiej, chował „jaszczurkę”, zielonego Essex, amerykański kabriolet z odchylaną tylną klapą, tak zwaną „teściówką” z wygodnym, skórzanym siedzeniem i oparciem. Na klapie „teściówki” przymocowane były dwa zapasowe koła ze szprychami. Sygnał stanowiła gumowa gruszka z trąbką. Maskotką przy kluczyku była małpka. Pachniała Ojcem i jego fajką. Małpkę mam do dzisiaj. Przywiozła ją Matka, po pierwszej wizycie na Mokotowskiej w lutym 1945, po zajęciu Warszawy przez Rosjan. Małpka leżała wraz z albumami rodzinnych fotografii, podeptanymi przez szabrowników, na podłodze jadalni.

Wakacje z Mamą, siostrą i boną spędzaliśmy w wynajętym domku w Świdrze, gdzie Ojciec dojeżdżał „jaszczurką”. Czasem siadałem za kierownicą i trąbiłem trąbką. Byłem dumny i szczęśliwy.



*Rys. 4. Rodzina w Świdrze i moja zabawa z kierownicą i trąbką.*

W ogrodzie w Świdrze wisiał hamak. Szeroką bramę, przed Ojcem przyjeżdżającym „jaszczurką” z Warszawy, otwierała Mama. Kiedyś, pamiętam, miałem 3 lub 4 lata, Mama miała do Ojca pretensję, że o mało jej nie przejechał w tej bramie. Dostałem wtedy od Ojca samolot nakręcany na gumę. Latał pięknie, dopóki źle puszczone, rozbił się o drzewo. Z żalu nie mogłem zasnąć. I tyle pamiętam, dziś po 70-ciu latach, z rozgrzanego letnim słońcem, pachnącego sosnami przedwojennego Świdra.

Co dzień rano, w domu na Mokotowskiej 5 (nie na wakacjach), Ojciec jadł grapefruita przekrojonego na pół i posypanego cukrem. Jadł go wcześniej rano, jak tylko przestawał okropnie chrapać, czego nasłuchiwałem z sercem bijącym z przerażenia. Przybiegałem do Ojca, na grapefruita (dumny), i jem go do dzisiaj co dzień rano. Tylko białego grapefruita, żadne czerwone odmiany Ojcu nie smakowały. Ojciec zmarł w 1981 roku mając 90 lat. W dniu śmierci odbył, jak zwykle, spacer z Jadwisina (gdzie był z Mamą na odpoczynku) do Serocka. Tam i z powrotem. Razem 12 kilometrów. Miał mój Stary zdrowie do końca. I umarł godnie. Czasami, gdy jestem na spacerze w lesie lub gdzieś na szlaku w górach, wydaje mi się że mi towarzyszy. Nawet z Nim rozmawiam.

## WOJNA

*Wrzesień 1939r.*

Na balkonie, przytuleni do nóg Matki, machaliśmy do Ojca ubranego sportowo, w pumpy i kaszkiet. Wyjeżdżał z wujkiem i trzecim kolegą, polską simką – „pchełką”, bo paliła mało benzyny. Jechali do Lwowa. Ojciec ewakuowany z firmy „Perun” na Grochowskiej, a wujek z PZL – Polskich Zakładów Lotniczych. Miało być na kilka dni, zanim nie uderzą Francuzi i Anglicy.

Wkrótce rozpoczęły się ciężkie bombardowania Warszawy, komunikaty w radiu „uwaga, uwaga, koma trzy...”, kłopoty w zaopatrzeniu, wojna.

Na wiadomość, że w pobliżu bomby zabity wojskowego konia, Babcia wybiegła z domu i wróciła z wyciętą częścią końskiego uda, z którego przyrządziła siekane kotlety. Kręciliśmy z siostrą Sylwunią nosem, ale już po zjedzeniu kotletów, bo przedtem babcia nic nam nie powiedziała, że to konina. Była to Babcia „Wakulina” (Zofia Wakulska), bo druga babcia „Duszka”, matka Ojca, mieszkała na ulicy Śniadeckich, a więc za daleko żeby upolować dla nas zabitego konia. Do babci „Duszki”, Walentyny z Holtorpów Dobrowolskiej, Mama nas prowadziła od czasu do czasu, gdy ucichały, na chwilę, bombardowania i ostrzał artyleryjski Warszawy. Z Babcią „Duszką” graliśmy w loteryjkę, taką grę planszową, w której małe drewniane beczuleczki z numerami kładzie się na odpowiadające im numery na planszach. Babcia „Duszka”, wraz z Mamą i babcią „Wakuliną”, oczekiwały z niecierpliwością wiadomości od Ojca i wujka, czyli od męża, brata i syna.

Po zrujnowaniu naszego mieszkania przez pocisk, Mama zaczęła odgruzować mieszkanie, spuszczając gruz na podwórko przez rynnę z desek. Pomagaliśmy Mamie z siostrą jak umieliśmy. Ja miałem 4 lata, a siostra 6. Wśród wynoszonego gruzu odnajdowaliśmy szczątki ludzkie, pospiesznie zabierane nam przez Mamę i Babcię. Zapamiętałem stopę oderwaną wraz z półbutem i skarpetką oraz palec od ręki odnaleziony pod strzaskaną pokrywą nakręcanego ręcznie, starego gramofonu z tubą. Na pozostawionej tam płycie.

Przez całą wojnę baliśmy się przechodzić, po zmroku, przez korytarz prowadzący z jadalni do kuchni. Na suficie w korytarzu widoczna była, kilka razy zamalowywana, plama krwi. Piętro wyżej, służąca Państwa Redlichów doczołgała się tam po wybuchu pocisku, gdzie umarła z upływu krwi. Krew przesiąkła przez cały strop i plama widoczna była u nas na suficie w korytarzu przez całą wojnę.

### *Tajne komplety*

Mama zapisała mnie, zgodnie z zarządzeniem Niemców, do oficjalnej szkoły kontrolowanej przez Niemców przy ul. Piłsudskiego (obecnie Trasa Łazienkowska na odcinku między Rondem Jazdy Polskiej a Marszałkowską). W porozumieniu z nauczycielami, do szkoły tej ani razu nie poszedłem, uczęszczałem na tajne komplety.

Lekcje odbywały się w mieszkaniach rodziców dzieci tworzących „komplety”, codziennie gdzie indziej. Adres następnych lekcji podawany był uczniom z dnia na dzień. W przypadku choroby i nieobecności. Mama dowiadywała się od innych rodziców z „kompletów”, gdzie nazajutrz mają być lekcje.

Nieznany nam nauczyciel tajnych kompletów, z zeszytami uczniowskimi w małej, starej skórzanej teczce pod pachą, uciekał Mokotowską przed niemieckimi żandarmami od Placu Zbawiciela w kierunku Polnej. Kula dosięgła go w pobliżu naszego domu. Umierał na chodniku, od postrzału w brzuch, oparty o ścianę budynku Mokotowska 3, wyłożonego beżowymi płytkami. Prosił o wodę, typowe życzenie postrzelonych w brzuch. Jakaś kobieta przyniosła szklanekę wody. Żandarm niemiecki, wziął od niej szklanekę i podał rannemu.

Ranny odtrącił ją, upadła na chodnik rozbijając się. Wkrótce skołał. Plamę krwi kazano zmyć dozorecy.

### *Wyrok*

Pod tym samym domem, Mokotowska 3 (stoi do dzisiaj, nietknięty przez wojnę), żołnierz AK wykonał wyrok na funkcjonariuszu SS. Widziałem AK-owca po przybiegnięciu do okna na odgłos wystrzałów, chyba trzech.



*Rys. 5 Miejsce, w którym zginął nauczyciel tajnych kompletów.*

Szedł szybkim krokiem po drugiej strony ulicy, wzdłuż szkoły Wawelberga, w stronę Placu Zbawiciela, trzymając pistolet pod pachą i zdejmując skórzane rękawiczki. Szedł pospiesznie, ale nie biegł. Szedł po prostu szybko. Pożerałem go wzrokiem. Był to nasz, akowski, polski bojownik o wolność. Zabity SS-man miał beżowy mundur, czerwoną opaskę ze swastyką na ramieniu i jakąś mundurową czapkę z daszkiem podobną do francuskiego kepi. Ludzie mówili że był okrutnym oprawcą. Nikt go nie żałował.

### *Zabawka*

Od Ojca dostałem raz pod choinkę, paczką z Paryża, pistolet – zabawkę na kapiszony. Strzelał wspaniale, był bębenkowcem z przesuwaną taśmą kapiszonową, tak więc strzelać było można kilka razy pod rząd, z wielkim hukiem, bez ładowania. Był tak dobrze wykonany, wiernie odwzorowując prawdziwą broń, że bawiąc się kiedyś na ulicy - skwerze Piłsudskiego u zbiegu Polnej i Mokotowskiej (dzisiaj Rondo Jazdy Polskiej), podszedł do mnie niemiecki oficer, który wysiadł z motocykla z wózkem, kazał mi pokazać pistolet, a potem oddał bez słowa, z uśmiechem, wrócił do motocykla na którym siedział żandarm, wsiadł do wózka i motocykl odjechał.

### *Życie codzienne*

Bawiąc się siostrą Sylwią, niegdyś starszą ode mnie a obecnie znacznie młodszą, Marek skakał z balkonu od podwórka na pierwszym piętrze, z parasolem, na małą kupkę piasku, usypaną w związku z jakimiś robotami budowlanymi. Skacząc krzyczał: „za Boga i Ojczyznę” aż przerażony stróż, pan Jan, nie zawiadomił o wszystkim Babcie „Wakulinę”.



*Rys. 6. Balkon na pierwszym piętrze od podwórka. Widoczne też wejście na kuchenną klatkę schodową (po lewej stronie) oraz do magla (po prawej, istnieje do dziś)*



Rys. 7. Reklama magla – pralni, stan dzisiejszy

W piwnicy stały beczki z kiszoną kapustą i ogórkami. Przygotowywała je na zimę cała rodzina. Dziadek deptał kapustę w beczkach. Na pokrywie beczki z kiszoną kapustą lub z ogórkami leżał polny kamień, tak aby produkty były pod wodą/sokiem. W spiżarni z oknem wentylacyjnym wychodzącym na tak zwany „świetlik” (który był jak studnia, do której nigdy nie zaglądało słońce) wspaniale się przechowywały masło, ser, wędliny, no i przetwory na zimę, z zalakowanymi butelkami przecieru pomidorowego na czele.

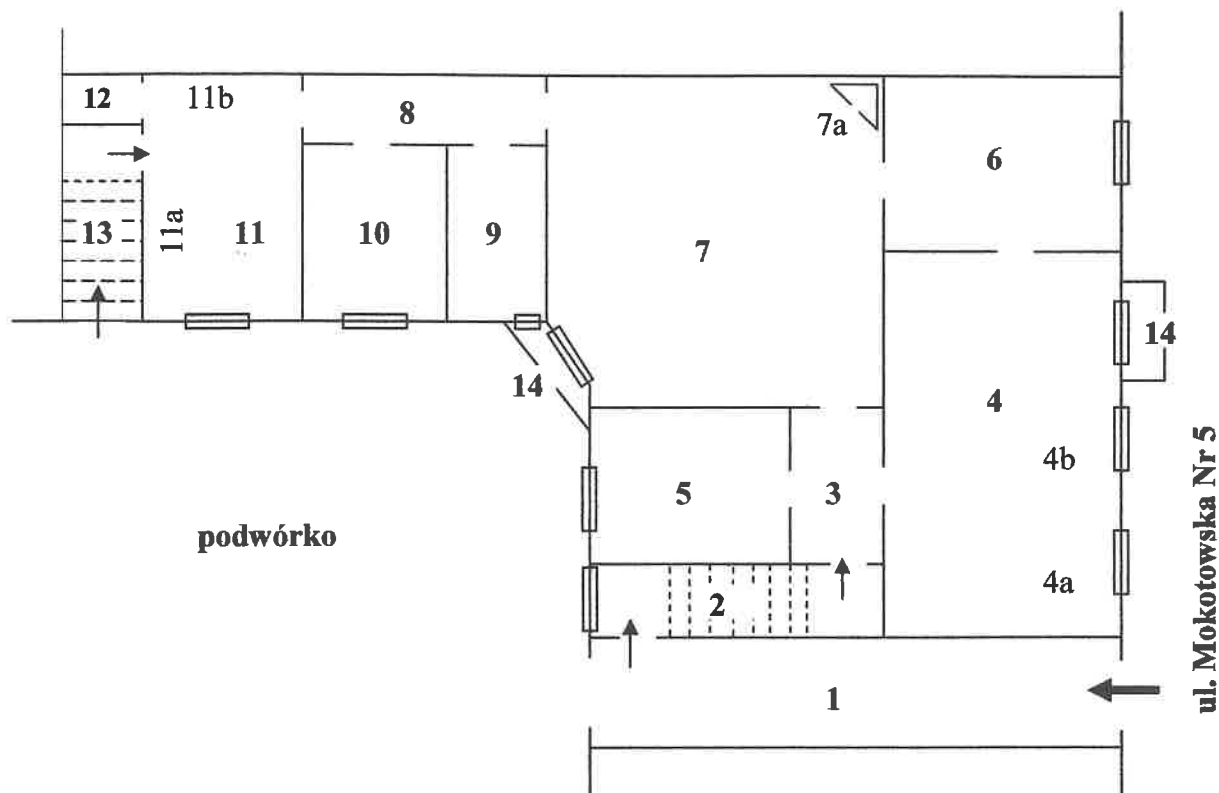
Konfitur z truskawek, poziomek i malin nie trzymało się w spiżarni. Po dłuższym przechowywaniu zdarzał się na nich kożuch pleśni. Pleśni jednak wtedy nikt nie uważał za truciznę. Po zebraniu spleśniałego kożucha konfitury były ze smakiem zjadane. Suche konfitury z malin służyły do pieczenia smakowitych strucli z malinami na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

#### *Sublokatorzy*

W naszym mieszkaniu ukrywał się oficer AK z Krakowa pan „Kazimierski”, zwany przez nas (dzieci) „odolkiem”, z racji używanej przez niego pasty do zębów „Odol”. Robiliśmy mu z Sylwią różne psikusy, za co nas karcił, aż kiedyś zamierzył się do kłapsa. Kochana babcia Wakulina, która każdy zamach na swoje wnuczki traktowała bardzo serio, powiedziała do niego : „Panie Odolek, ja panu gotuje; jak pan jeszcze raz dotknie dzieci to ja pana o-tru-ję !”. Pan oficer musiał się nie na żarty przestraszyć, bo Babcię przeprosił, ucałował w rękę i już nigdy na nas ręki nie podniósł.

Oprócz ukrywania Odolka, Mama wynajmowała 2 pokoje w naszym pięciopokojowym mieszkaniu, żeby związać koniec z końcem i utrzymać siebie, dwoje dzieci i dwoje dziadków, w sumie pięcioosobową rodzinę.





Rys. 8. Plan mieszkania. 1 - brama, 2 - frontowa klatka schodowa, 3 - przedpokój frontowy, 4 - salon, pokój ojca (sublokator „Baobab”), 4a - bilard, 4b - palma, 5 - pokój mamy (sublokator inż. Pohł a po jego zastrzeleniu Irma Weissnug), 6 - pokój dziecienny, 7 - pokój jadalny do którego zwały się gruzy i szczątki ludzkie z 2-go i 3-go piętra w 1939 r., 7a - zabytkowy piec kaflowy, 8 - korytarz kuchenny, 9 - łazienka z okienkiem na balkon od podwórka, 10 - pokój służbowy, zajmowany okresowo przez babcię „Wakulinę” i dziadka Warzewskiego oraz przez oficera AK „Kazimierskiego” - „Odolka” z tajnym radiem, 11 - kuchnia, 11a - kuchnia kaflowa, 11b - skrzynia na węgiel, 12 - spiżarnia, 13 - klatka schodowa kuchenna, 14 - balkony: frontowy na ul. Mokotowską i od podwórka.

Jednym z sublokatorów, w dużym salonie od frontu, był Pan Br., potężny mężczyzna, oficer AK i specjalista od skupu dolarów na potrzeby AK, zwany przez nas dzieci, Baobabem.

Drugim sublokatorem był inżynier Pk., znajomy Ojca z „Peruna”. Chudy i kostyczny. Miał romans, z piękną dziewczyną, żoną pana P. Ten pan P., ubrany był w czarny skórzany płaszcz, i współpracował z Niemcami.

#### *Pan Pietrzak*

Kiedyś pan P. przyszedł wieczorem, w czasie gdy sublokator Pk., wraz ze swoją kochanicą - żoną P., byli zamknięci w wynajmowanym przez Pk. pokoju. Mama nawet o tym nie wiedziała, bo sublokator Pk. przemykał się z kochanką po cichu. P. śledził jednak swoją żonę, a więc wiedział, że musi być z Pk. w zamkniętym pokoju.

P. wszedł do frontowego przedpokoju, stanął przed zamkniętymi drzwiami i zaczął się awanturować. Chciał wyważyć drzwi. My - dzieci, powyłaziliśmy z łóżek i podsłuchiwalismy pod drzwiami, o czym Mama wiedziała, bo drzwi były oszklone, wprawdzie we wzorki, ale było nas widać. P. zaczął wygrażać Mamie i opowiadać, że wszystko o nas wie, o oficerze AK - „Odolku”, o Mamie też, że należy do AK, i że o wszystkim może powiedzieć Niemcom.



Mama na to, we łzach, że to wszystko co on mówi to prawda, ale że błaga go o litość ze względu na małe dzieci, i na to, że samotnie boryka się z wojną, że jeszcze ma na utrzymaniu dziadków. P. zmiękł. Szorstko, ale uspokoił Mamę, że jej i dzieciom krzywdy nie będzie robił, ale tę cholere, swoją żonę, to on chyba, po prostu, zabije.

Wkrótce po wyjściu pana P., piękna pani P. chyłkiem się wymknęła. Ciec Jan pytał potem Mamę, kto to u niej był. Bo ten pan, w skórzanym płaszczu, długo czekał w bramie i spuścił okropne lanie kobiecie wychodzącej z naszej klatki schodowej. Tak więc P. groźby swej dotrzymał. Słowa danego Mamie dotrzymał też, i żadnych złych skutków, z ewentualnych jego donosów, nigdy nie było. Pięknej Pani P.-kowej nie widzieliśmy już nigdy więcej.

Sublokator Pk. natomiast, w niewyjaśnionych okolicznościach, zginął od „zabłąkanej kuli”, jadąc rowerem. Czyżby P. ak miał aż tak długie ręce?

### *Rewizje i wizytacje mieszkania*

Zaraz po zdobyciu Warszawy przez Niemców w 1939 roku, rewizję zrobił zniecka niemiecki oficer z żołnierzem. Szukali przede wszystkim radia, ale przy okazji znaleźli w szafie wiatrówkę „Diana” Ojca. Oficer „złamał” fachowo lufę wiatrówki i strzelbę zostawił, ku naszemu zdumieniu. Zabawialiśmy się z siostrą tą wiatrówką całą wojnę. Zwłaszcza odgrywając sceny z „W pustyni i w puszczy”.

Mieszkanie na Mokotowskiej 5 było obiektem wizytacji oficerów Wehrmachtu, którzy szukali kwater, w pobliżu ulicy Jaworzyńskiej, całkowicie zajętej przez Niemców. Do ich „gniazda os” w Alei Szucha, też nie było daleko.

Jedna z niemieckich wizytacji, którą prowadził niemiecki oficer z monoklem w oku, białymi rękawiczkami i ordynansem, przyjmowała w drzwiach od frontu Babcia Wakulina. Babcia, jako krakuska z dobrej pensji sióstr Urszulanek, znała niemiecki. Szerokim gestem, mówiąc „bitte, bitte sehr” zaprosiła z lubością Niemca do środka. Bowiem minutę wcześniej, goniąc się z Sylwunią w berka, zawadziliśmy o rurę od pieca na trociny, tak zwanej „kozy”, z której kilogramy sadzy rozsypały się po mieszkaniu. Umazani sadzą jak dwa małe lucyferki, byliśmy przez Babcie zaprezentowani, niemieckim białym rękawiczkom z monoklem. Efekt był piorunujący i oficer natychmiast wyszedł, nie dokończywszy oględzin reszty mieszkania. W ten sposób uniknęliśmy być może wykwaterowania.

Druga z wizyt skończyła się nieomal tragedią, gdyż Niemca przyszłego z niespodziewaną wizytą nie udało się zatrzymać w przedpokoju i wszedł on prosto do pokoju jadalnego, gdzie rozpięty był miedziany drut, antena do radia pana Kazimierskiego - „Odołka”, oficera AK.

Mama z wrodzonym refleksem, zaczęła przy Niemcu rozwieszać na antenie bieliznę dziecięcą, którą, dobry Bóg sprawił, trzymała akurat w ręku.

Mama w ogóle miała szczególną intuicję, a poza tym była porządną. Uratowało to raz naszego sublokatora B., u którego w pokoju leżała akurat na stole kupa papierowych dolarów i monet. Mama, sprzątajac rano pokój, przykryła je serwetą. Nieco później, podczas kolejnej wizyty niemieckich amatorów do zajęcia mieszkania, żołnierz otworzył drzwi od pokoju, obejrzał pokój, ale niedbale rzuconej na stół serwety nie ruszył.

Rodzina nasza miała opracowany szczegółowy plan działania na okoliczność kontroli inkasentów z elektrowni, którzy przychodzili w asyście żołnierzy niemieckich aby nakryć ludzi kradnących prąd oraz innych rewizji niemieckich. Babcia zdejmowała i chowała przewody do kradzieży prądu, dziadek kładł się w ubraniu do łóżka i szczelnie zakryty kołdrą udawał gruźlika, a my mieliśmy robić okropny harmider. Miało to zniechęcić potencjalnych lokatorów i skrócić niechcianą wizytę.

Zdarzyło się jednak, że Niemcy i inkasent przyszli zniemacka kuchennymi schodami. Było bardzo mało czasu na rutynowe przygotowania i Babcia schowała gorące przewody elektryczne za dekollet a dziadek nie zdążył dobrze zakamuflować się w łóżku. W efekcie, Babcia, parzona w biust, wykonywała dziwne ruchy przerywane trudnymi do stłumienia okrzykami bólu, a dziadkowi wystawały spod kołdry trzewiki. Na szczęście dziadek tak straszliwie kaszlał, a myśmy tak się darli, że sprytny inkasent wytłumaczył niemieckiemu żołnierzowi, że ma przed sobą dziada z otwartą gruźlicę i starszą panią wariatkę. Niemiec, wyraźnie speszony, zrobił w tył zwrot i wyszedł. Inkasent też, robiąc do nas oko.

### *Irma*

Po którejś z takich wizyt, po śmierci sublokatora Pk., pokój po nim zajęła Irma Weissnug, przysłana z warszawskiego Arbeitsamtu.

Irma była Niemką, niezłe mówiącą po Polsku, córką starych osadników niemieckich z Poznańskiego. Była bardzo ładna, miła i zadbana. Z okna pokoju dzieciennego, wychodzącego na ulicę Mokotowską, widzieliśmy z Sylwią, jak odwoził ją oficer niemiecki, czarnym kabrioletem.

Irma szybko zadeklarowała, że o niczym nie będzie donosić, między innymi o tym, że kradliśmy prąd, jak w co drugim warszawskim mieszkaniu. Instalacja była bardzo prosta. Jeden z elektrycznych kabli zasilających grzejnik lub kuchenkę elektryczną, musiał być podłączony do rury wodociągowej lub gazowej stalową obejmką, używaną do mocowania kółek na ośkach wózków dzieciennych. Grzejniki elektryczne („słoneczka”) były ważne, bo mieszkanie na Mokotowskiej 5 ogrzewane było piecami na węgiel, który był reglamentowany. Między innymi z tego powodu mieliśmy w mieszkaniu piec na trociny, tak zwaną „kozę”.

Irma mieszkała u nas aż do Powstania. W dzień Powstania nie wróciła jednak do domu. Została ostrzeżona lub zatrzymana w pracy, z której wracała zwykle po 17-tej, czyli po godzinie kiedy wybuchło powstanie. Kiedy w pierwszych dniach Powstania prowadzono ogolone do gołej skóry volksdeutsch-ki do budowania barykad (zresztą razem z mieszkańcami) to mówiliśmy, że dobrze, że Irma nie wróciła. Było by trudno ją obronić przed ogoleniem.

### *Dziadek Kazimierz*

Dziadek, Pan Kapitan Kazimierz Warzewski, pracując przed wojną, jeszcze przed emeryturą, w wojskowym wydawnictwie medycznym w Szpitalu Ujazdowskim, nie był naszym rodzonym Dziadkiem. Babcie poznał w czasie pierwszej wojny światowej w Nowym Targu, gdzie leczyła się po zapaleniu płuc.

Tak więc kapitan Warzewski, dowódca garnizonu austriackiego w Nowym Targu za czasów Franciszka Józefa, zakochał się w Babci i był jej partnerem aż do zakończenia swego życia w 1946r. Nie mógł się jednak z Babcią ożenić, gdyż jego rodzina i on sam zdecydował się przedtem poślubić pannę, która miała powić dziecię za sprawą jego brata, kandydata na księdza. Tak więc dziadek Kazimierz, dla ratowania honoru swej rodziny musiał się ożenić, wprawdzie jedynie formalnie, bez konsumpcji, ale zawsze. Wolnym nie był.

Dziadek Kazimierz, a właściwie konkubin<sup>ent</sup> naszej Babci, kochał nas i traktował jak własne wnuki. Był przez Babcie zdominowany. Natychmiast wyczuliśmy słabość dziadka i czasem mu okrutnie dokuczaliśmy. Krzycząc na przykład na spacerach do Ogrodu Ujazdowskiego : „Pan kapitan świeża idiota”. Straszni byliśmy przyszywanymi wnukami.

Raz Babcia Wakulina myśla oberlufty. W tym celu (mieszkania na Mokotowskiej 5 są wysokie) na pianinie ustawiła składane krzeselko i z trudem sięgała do oberluftu. Uczynny

dziadek Kazio chciał Babci pomóc i mówiąc: „Mateczko, mateczko, ja mateczkę przysunę”, pchnął pianino. Babcia Wakulina spadła za pianino i podbiła sobie oko. Dziadek Kazio chciał ją ratować, ale Babcia, mierząc go wzrokiem który mógł zabić, powiedziała tylko jedno słowo „ODEJDŹ !!!” i zdzieliła Kaziutka mokrą ścierką do mycia okien.

Odtąd wszyscy w naszej rodzinie, w sytuacjach krytycznych, mówią tylko jedno słowo: „odejdz” i wszystko jest jasne, jedno słowo wystarcza.

### *Baobab*

Sublokator B., z racji potężnej postury nazywany przez nas Baobabem, zajmował największy pokój z całego mieszkania na Mokotowskiej 5, ponad 40-to metrowy salon – pokój Ojca, z balkonem, dwoma oknami, palmą i bilardem. Mieściło się tam jeszcze biurko Ojca, biblioteka i obszerny tapczan, do którego rankami przychodziłem, jeść z Ojcem grapefruta. Wisiał tam obraz Szyndlera (nagroda w Paryżu za „Ewę”), ponure – ciemne – szara katedra w Westminster oraz modny przed wojną góral z fajką.

Był tam jeszcze stolik, na którym B. potrafił nierozważnie trzymać kupkę papierowych dolarów i złotych monet, bo zajmował się gospodarką dolarami na rzecz AK. Mówiło się o nim, że jest skarbnikiem AK. Przedrzeźnialiśmy go z siostrą, chodząc za nim i mamrocząc „hossa, bessa, hossa, bessa..” i tak bez końca.

Tenże Baobab kochał się do szaleństwa w pannie Irenie (Iruśka !! mawiał, Iruśka !!), która romantycznie, wieczorami grywała na fortepianie. Okna miała od podwórza więc świetnie było słycać: „U prząsniczki siedzą jak anioł dziewczeczki, przędą sobie, przędą jedwabne niteczki, kręć się, kręć wrzeciono, wić się tobie wić, ta pamięta lepiej, czyja dłuższa nić!” Baobab prawie płakał tego słuchając.

Lubił sobie też zdrowo pociągnąć, co pewnie przy interesach dolarowych było nieodzowne. Wrócił raz późno do domu, cichutko zakradł się do kuchni aby się czegoś napić, bo go suszyło. Nazajutrz pochwalił się Babci Wakulinie że : „wiśny był barszczyk, ale wiśny !”. A Babcia do niego: „ty pijaku, to były w occie moje ufarbowane świeżo pończochy !” Strasznie był skonfundowany, ale Babcię po rękach wycalaował.

Kiedy indziej, zrozpaczony oporem Iruśki i dolarowymi kłopotami, „zmęczony” i zdesperowany, wrzucił do paleniska w kuchni cały portfel pełen banknotów. Babunia przytomnie portfel wyciągnęła i nazajutrz napawała się przez chwilę markotnością pana Baobaba, aż mu w końcu, z odpowiednią reprimendą portfel oddała. Szacunku do Babuni nabrał niebywałego i zachował go do końca, do wyjścia po powstaniu z Warszawy. Trafiał chyba do oflagu a my na Dworzec Zachodni i do Pruszkowa. Baobab brał udział w Powstaniu w zdobyciu tak zwanej małej Pasty na pięknej (Urzędu Telekomunikacji), a zdobycie tego gmachu było jednym z większych sukcesów. Nie mówiąc oczywiście o dużej Pastcie na Grzybowskiej.

### *Was is das ? Glas*

Mama przed powstaniem pracowała jako magazynierka w tawernie na Świętokrzyskiej (do niedawna tam była restauracja „Matysiakowie”) i miała specjalny ausweiss upoważniający ją do wracania do domu po godzinie policyjnej, to znaczy po 8-iej wieczór.

Jako przedwojenna Pani Inżynierowa, mama cieszyła się zaufaniem i atencją kucharza, a trzeba powiedzieć, że wydawanie porcji mięsa, kotletów i innych stosunkowo drogich produktów, było czynnością odpowiedzialną. W uznaniu dla uczciwości Mamy, szef kuchni nagradzał ją czasem kotletami i jajkami. Te jajka Mama przynosiła na głowie pod kapeluszem, obawiając się zgniczenia ich w przepełnionych tramwajach.



Stosunki personelu w tawernie były przyjacielskie, czego objawem było wypożyczenie przez Mamę do restauracji, na specjalne okazje, rodowej, kryształowej zastawy, głównie kieliszków i pucharów na owoce. Wracając raz wieczorem, w czasie śnieżnej zimy po godzinie policyjnej, tachając walizkę z kryształami, natknęła się na niemiecki patrol. Na pytanie żandarma „was haben Sie In dise Tasche, was ist das?“ Mama odpowiedziała zgodnie z prawdą i krótko „Glas“ . Wściekły żandarm, uznając to za głupi żart, szarpnął za walizkę i kieliszki wysypały się na śnieg, szczęśliwie się nie bijąc. Mama opowiadała, że młody żandarm mocna się skonfundował, i pomagał Mamie zbierać szkło do walizki. Bardzo to Mamę uderzyło, że nawet w tak okrutnych warunkach wojennych, odezwała się jednak w tym Niemcu „kinderstuba” niewątpliwe wyniesiona z domu, bo przecież nie z musztry Wehrmachtu.

### *Titanic, Staś i Nell*

Babcia Wakulina, która przy braku Ojca pełniła rolę Matki, musiała wracać do domu dużo wcześniej niż wracała z tawerny Matka. Nie miała bowiem zezwolenia do poruszania się po mieście po godzinie policyjnej. Czas między wyjściem Babci i Dziadka a przyjściem Mamy, był dla nas z Sylwią okresem do wyprawiania dzikich psot.

Nasza imaginacja zdawała się nie mieć granic. Ulubionym numerem była „tragedia Titanica”, odgrywana na blacie dużego kredensu w pokoju stołowym, z orkiestrą grającą do ostatnich chwil tragedii w postaci jednego z nas brzdąkającego na mandolinie no i skakaniem w otchłań lodowatej wody w postaci dywanu. Niezwykle to przeżywaliśmy, tragedia rozgrywała się jak naprawdę. No i Titanic tonął prawie do ostatnich chwil iluminowany niezliczoną ilością wspaniałych zyrandoli i świateł (wszystkie lampy w pokoju były zapalone !). A przecież obowiązywało ściśle zaciemnienie okien. My o tym zapominaliśmy i dopiero zdenerwowany wrzask stróża Jana przeplatany szwargotem niemieckiego patrolu przywracał nas do rzeczywistości: „Pani Dobrowolska ! Na litość Boską światło gasić”. Gasiliśmy więc i Titanic zanurzał się w ciemnych odmętach lodowatego oceanu.

Pan Jan nielegalnie hodował świnię (co było zagrożone aresztowaniem przez Gestapo) w garażu zajmowanym przez wojna przez Ojca, wychodzącym na podwórko. Bawiąc się „W pustyni i w puszczy” (ja Stasio, Sylwia to Nell) strzelałem przez okno do lwa – świńskiego łba wyglądającego z garażu, z wiatrówki Ojca „Diana”, z łamaną lufą, którą zostawił niemiecki żandarm podczas rewizji mieszkania jeszcze na początku wojny. Raz udało mi się w końcu, ratując Nell, trafić bolcem w ucho lwa-świni, ta kwicząc z bólu wyskoczyła na podwórze, Stróż Jan bojąc się, że ucieknie mu na ulicę, co wobec niemieckich zakazów mogło by mieć naprawdę groźne skutki, zamknął pośpiesznie bramę. Tyle tylko, że była to właśnie godzina policyjna i zdesperowani, zapóźnieni mieszkańcy dobijali się do bramy wypatrując niemieckiego patrolu. Straszna się zrobiła awantura a uratowało nas to, że dozorca Janowi do głowy nie przyszło, że nagle zwariowanie świnki spowodowane było celnym strzałem z wiatrówki.

### *Muzyka, rysunki i rytmika*

Nasza Mama, jak większość pań z towarzystwa bez mężów, którzy byli gdzieś na wojnie, starała się, mimo tragicznej sytuacji, utrzymać wychowanie inteligenckich dzieci na przedwojennym poziomie. Była w tym również pewna nuta solidarności, współpracy z muzykami, malarzami, tancerzami, którzy nie chcieli kolaborować z okupantem, a żyć z czegoś przecież musieli. Tak więc muzyki mnie i siostrę uczyła uczennica Prof. Śmidowicza, rysunku uczył młody malarz, no i rytmiki, bo tak wtedy nazywano gimnastykę i naukę tańca, jakiś artysta. Siostra i ja, gramy na pianinie do dziś. Umiejętność ta bardzo nam umilała życie, przynosiła towarzyskie radości i mam wrażenie, że stanowi jakiś „znak markowy” naszej

generacji. Bardzo wielu z naszych przyjaciół w podobnym wieku gra na pianinie, W pewnym sensie jest to podobna sytuacja jak z obecną grą na gitarze wśród młodych.



Rys. 9. Marek gra kolędy w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej w Wiedniu (1998) dla współ-pracowników z Albanii, Rosji i USA.

z dwojgiem dzieci Basią i Maćkiem, które Mama nazywała „Mrowcami” z racji drobnej postury, wywieziona została przez bolszewików ze Lwowa do Kazachstanu. Wszystko co miało jakakolwiek wartość jej zabrano, udało się jej jednak wydłubać z pierścionka jednokaratowy brylant i połknąć. Grzebiąc stale w swoich kupkach i połykając brylant udało się jej dowieźć go do Kazachstanu. W momencie pewnej wymiany ludzi między bolszewikami i hitlerowcami w okresie paktu Ribbentrop - Mołotow, przekupiła tym brylantem kogo trzeba i udało się jej wrócić z dziećmi do Warszawy. Z naszą Mamą znały się jeszcze z przed wojny i obie będąc bez mężów, z dziećmi w podobnym wieku, trzymały się razem. Pani Krzy...ska i jej dzieci „Mrowce” mieszkali na Wierzbnie. Kiedyś były to obrzeża Warszawy. Matki nasze i my dzieci, odwiedzaliśmy się nawzajem.

Przyjeżdżamy raz na Wierzbno, otwiera nam Maciek z pióropuszem kogucich piór na głowie i wita słowami: „Ja jestem Indianin, mamusia jest na górze, dzień dobry”. Świetna hierarchia ważności spraw. Mrowce, zachwycone pogrzebem swojego dziadka, zamęczały babcię wdowę pytaniami : „Babciu, kiedy Babcia umrze ?”

Przyjaźń naszej Mamy i pani Krzy...skiej przetrwała czasy PRL i kiedy mogła się ona w końcu połączyć z mężem przebywającym w Kanadzie, dostała od IATA (Międzynarodowego Stowarzyszenia Przewoźników Powietrznych) dożywotni, darmowy bilet lotniczy. Pan Krzy...ski był bowiem jednym z współzałożycieli Konwencji Warszawskiej regulującej do dziś wzajemne zobowiązania przewoźników lotniczych i pasażerów.

Wykorzystując te możliwości Oleńka Krzy...ska, która była ostatnią, żywą przyjaciółką Mamy, odwiedzała ja corocznie przylatując z Kanady nawet w wieku ponad 90-ciu lat. Malutka, szczuplutka, pełna wigoru i błyskotliwego dowcipu, po tylu przeżyciach ! Niewiasta wspaniałego ducha. Jeszcze po śmierci Mamy przychodziły od niej życzenia świąteczne. Cała epoka czegoś ulotnego czego wydaje się teraz brakować. Świat jest doskonały uczyła mnie ciocia Mela, siostra Ojca, mimo, a może dlatego, że przemija i trwa już tyle milionów lat. Taką przedstawicielką doskonałego świata była na pewno i jeszcze jest w zaświatach Oleńka Krzy...ska. Widok dwu starszych pań, Mamy i Oleńki, chichoczących i plotkujących o swoich przeżyciach wojennych i o wspólnych, w większości niestety już zmarłych, przyjaciółach, został na zawsze w mojej pamięci.

### *Oleńka, Basia, Maciek*

Jednym z przedwojennych przyjaciół Ojca był dyrektor LOT-u, pan Krzy...ski. Ostatnio natrafiłem na jego grób na Powązkach, z małym samolocikiem wykonanym przez załogę LOT-u z nierdzewnej stali. O ile dobrze pamiętam, pan Krzy...ski był pierwszym dyrektorem LOT-u, jeszcze w czasie gdy latały na liniach krajowych Fokkery i Junkersy. Lecąc jednym z nich uległ bardzo poważnemu wypadkowi, ledwo przeżył. W czasie wojny, podobnie jak mój Ojciec, znalazł się na zachodzie. Jego żona Oleńka ,

### *Pomianowski, Lardelli, Latona*

Do dobrego tonu, mimo wojny, należało chodzić z dziećmi w niedziele do kawiarni na ciastka i lody. Do ulubionych przez nas miejsc należały cukiernie Pomianowskiego na rogu Marszałkowskiej, Piękną i Koszykowej, Lardelli na rogu Polnej i Al. Piłsudskiego (obecnie Trasa Łazienkowska) oraz kawiarnia Latona, w podwórku - ogródku na Nowym Świecie 35 (dom Bliklego). Pewne elementy tego ogródka istnieją do dziś. W Latonie, w duchu inteligenckiego „nie dajmy się głupiemu malarzowi - Adolfowi”, piękne portreciki rysował nieznan nam wówczas Zbigniew Lengren, niezrównany autor Profesora Filutka w powojennym Przekroju. Był niezwykle szarmancki i za śmieszne naprawdę honorarium narysował szybciućko portreciki siostry i mój.

Dygresja: jak to się czasy zmieniają ! Teraz Pan Lengren byłby pewnie okrzyknięty męskim szowinistą za opublikowany niegdyś w Przekroju dowcip rysunkowy: na pierwszym rysunku widać było wypadającą z kabrioletu niewiastę; na drugim przechodnia krzyczącego: „Panie Profesorze ! Zgubił pan żonę !”; na trzecim tył kabrioletu z przywiązaną do koła zapasowego damą i Profesora Filutka krzyczącego do przechodnia: „Nic nie szkodzi, mam zapasową”.



*Rys. 10. Portrecik Sywii autorstwa Pana Lengrena, wykonany w kawiarni Latona*

## **POWSTANIE**

### *Pierwsze dni*

Wybuch Powstania zastał Mamę w pracy, to znaczy w restauracji Tawerna znajdującej się na ul. Świętokrzyskiej, tam gdzie jeszcze do niedawna była jadłodajnia Matysiakowie, a obecnie pizzeria Marcano. Z nami, dziećmi na Mokotowskiej nr 5, była nasza babcia i dziadek Warzewski. Trwało to przeszło tydzień jak byliśmy bez Mamy, do momentu wykopania płytkiego przekopu i postawienia niskiej barykady w poprzek Al. Jerozolimskich na wysokości mniej więcej obecnej rotundy PKO. Mimo stałego ostrzału Niemców, od strony mostu Poniatowskiego i przez okolicznych snajperów, ludzie przebiegali skuleni przez Aleje Jerozolimskie z północnej na południową część śródmieścia, wypuszczani pojedynczo przez posterunek AK, w tym w końcu nasza Mama.

Drugi dzień powstania był dżdżysty i negatywnie to wpływało na nasze nastroje w oczekiwaniu na Mamę. No ale nareszcie Mama się pojawiła a radość nasza i ulga były przeogromne.



### *Jeńcy niemieccy*

W pierwszych dniach powstania, Niemcy jadący motorem z wózkiem ulicą Polną i pragnący prawdopodobnie skręcić w Al. Piłsudskiego (teraz Trasa Łazienkowska), pomylili się i wjechali w Mokotowska. Teren ten był pod kontrolą AK i po krótkiej strzelaninie jeden cały a drugi ranny Niemiec znaleźli się u nas na podwórku, a wkrótce po nich przyciągnięto motor. Nasze zdumienie i zachwyty były bezgraniczne. Widzieć z bliska żołnierzy wermachtu, jednego krwawiącego i ledwo trzymającego się na nogach a obu śmiertelnie przerażonych, to była dla nas po latach okupacji i ulicznych egzekucji prawdziwa uczta. Nikt jednak nie rwał się do obelg czy innej agresji, widok zgnębionego wroga zadziałał kojąco. Samych Niemców powoli opuszczał paniczny strach, zwłaszcza, że rannego zaraz opatrzone. Szybko zostali odprowadzeni do sztabu na przesłuchanie.

### *Butelki z benzyną w salonie*

Zaraz na początku powstania Akowcy kazali opróżnić frontowe pokoje od ul. Mokotowskiej (salon – pokój Ojca i pokój dziecinny), wysypali te dwa pokoje piaskiem i ustawili przy wszystkich oknach i przy balkonie butelki zapalające do ewentualnej obrony przed czołgami. Była to dla nas szalona pokusa wejść do tych opróżnionych i „uzbrojonych” pokojów ale zakazy Babci i Mamy były szczególnie stanowcze w tym względzie.

### *Nasi, nasi*

Mimo niebezpieczeństwa i rygorystycznych zakazów, któregoś wieczora na wieść o tym, że rosyjskie czołgi są na Pradze, pobiegliśmy z Mamą i Babcią do okien wychodzących na Mokotowską a nawet na balkon, gdyż przez całe miasto niesły się okrzyki „nasi, nasi, nasi”, a serce przepełniła nadzieja i radość. Siła emocjonalna tego wydarzenia była tak duża, że Niemcy kontrolujący Pole Mokotowskie, po drugiej stronie ulicy Polnej, nie strzelali do tłumu cywilów w oknach i na balkonach, tylko zaczęli wrzeszczeć „nazad, nazad!”. Do dziś dnia widzę ten obraz jak żywy, tak wielkie i pełne szaleńczej nadziei na lepsze było to wydarzenie.

### *Zdobycie świń u Lardellego, sprawiedliwy podział; kielki grochu z łebkami*

Jak już było wspomniane, na rogu ul. Polnej i dawnej Alei Piłsudskiego (teraz Trasa Łazienkowska) znajdowała się kawiarnia Lardellego opanowana przez Niemców, a właściwie, na początku Powstania, leżąca trochę w strefie niczyjej. Na zapleczu Lardellego (był też tam letni teatr) hodowane były świny karmione odpadkami. Świniaki wygłodniały i potwornie kwiczały. Zaczynało nam brakować żywności i oddział AK stacjonujący na Mokotowskiej, między Placem Zbawiciela a Polną, zdecydował się te świny zdobyć. Jak postanowiono tak zrobiono i nocą, po krótkiej strzelaninie ubite świny znalazły się u nas na podwórku. Nie było rzeźnika. Oficer AK zawołał więc szewca i kazał mu oprawić świniaki mówiąc: „szewc musi mieć przecież noże do krojenia skóry”. Pan szewc noże miał, świny wybebeszył i oprawił. Część mięsa powstańcy przeznaczyci dla mieszkańców domu Mokotowska 5, gdzie to wszystko się odbyło. Mieszkańcy solidarnie podzielili mięso i tym sposobem dysponowaliśmy kilkoma wekami świetnej wieprzowinki, przygotowanymi przez Babcię Wakulinę. Widmo głodu na parę dni zostało oddalone. Niestety, dość szybko wróciliśmy do podpłomyków ze zboża od Haberbusza i dziennych porcji cukru w aptecznych buteleczkach, wydzielanych nam przez Babcię.

Raz Babci udało się zdobyć zupę z pęcaku, niestety robaczywego. Babcia na nasze narzekania, że w zupie czasem wypływał robak w oczku tłuszczu, tłumaczyła nam, że są to kielki. Po naszym: „Babciu, ale one mają czarne łebki” Babcia nas ofuknęła.

### *Berbelucha*

Sublokator Baobab brał udział w zwyczajnym ataku na „małą Pastę” na ulicy Pięknej, co wzbudziło patriotyczną euforię. Później, gdy powstanie chyliło się ku upadkowi i bardzo brakowało żywności, wybrał się kiedyś z naszą Mamą, w nocy, pod światłem flar które wystrzelili Niemcy, na Pole Mokotowskie po kartofle i jarzyny. Mama nawet przyniosła pomidory, i ogórki co było niesłychanym rarytasem w czasie głodowego powstania, zwłaszcza w drugiej jego części. Baobab, silny chłop chciał zebrać prowiantu jak najwięcej i wypakował nimi worek do samego wierzchu. Potem ciągnął ten worek jak psa za ogon w poprzek ulicy Polnej, przez okienko w piwnicy i przez przejścia podziemne aż na naszą Mokotowską 5 (trzeci dom od ulicy Polnej). Efekt był żaloszny, wszystko się przemacerowało i doniósł do domu ociekający pomidorami worek. Babcia Wakulina strasznie go zwymyślała za brak pomysłu, a Baobab na to: „Babciu nie gniewaj się, zobaczysz jaką dobrą ugotuję berbeluchę!”

Jak powiedział tak zrobił, wrzucił wszystko do wielkiego gara i jadł to chyba przez tydzień. I dobrze się stało, bo przybyła nam w mieszkaniu jedna gęba do żywienia więcej w postaci Mamuśki Baobaba, autentycznej kniahini ruskiej, o wspaniałych manierach i zupełnie sklerotycznej głowie, a także pustym jak u innych żołądka. Zachowaliśmy w pamięci jakiś splendor bijący od Mamuśki i godność, mimo głupawego zachowania. Baobab zajmował się swą Mamuśką z oddaniem. Nie wiem co się z nią po Powstaniu stało.

### *Zboże od Habermuscha*

Próbując zdobyć coś dla wygłodniałych już solidnie dzieci, nasza Mama zdecydowała się na wypad nocny do browaru Habermuscha po jakieś ziarno. Przystąpiła do worka jęczmienia z okolic ulicy Żelaznej, a więc od Mokotowskiej daleko. Bardzo się uszarpała i cierpiała potem na atak wątroby. Ten wypad Mamy stanął mi jak żywy przed oczami, gdy w dodatku „Warszawa” do dziennika „Polska” z dnia 31 lipca 2009 r. znalazłem, we wspomnieniach z powstania taki fragment: „Chrobry II zasłynął w czasie Powstania z wielu strategicznych akcji. Żołnierzom udało się m.in. zdobyć i utrzymać wielkie składy zboża w browarach Habermuscha przy ul. Ceglanej. Oddział jako jeden z ostatnich opuścił mordowaną przez hitlerowców stolicę”

To właśnie u „Chrobrego II” Mama wyfasowała worek jęczmienia, który potem mieliliśmy z siostrą Sylwią na młynkach od kawy, przycinając sobie do stołków wystające spod krótkich spodenków gołe uda i otrzymując następnie od Babci podpłomyki wraz z dzienną porcją cukru w buteleczkach po lekarstwie.

### *Studnia, granatniki, gołębiarze, honorarium dla lekarza*

Gdy po początkowym okresie Powstania zabrakło bieżącej wody, ktoś ze starszych mieszkańców przypomniał sobie o carskiej jeszcze studni która istniała podobno na naszym podwórku. Po dokładnym przestudiowaniu asfaltowej powierzchni podwórka odkryto rzeczywiście okrągły ślad dawnej studni, odkopaną ją i z niemałym trudem uruchomiono.

Powstańcza Warszawa była pod nadzorem niemieckich gołębiarzy, to znaczy wyborowych strzelców snajperów, często w cywilnych ubraniach, przemieszczających się po dachach i strychach i strzelających do ludzi. Ogonek ludzi stojących po wodę przy studni na naszym podwórku stał się również celem ich zbrodniczej aktywności. Woda do studni naciekała powoli więc ogonki po wodę były długie. Stały się one celem nie tylko gołębiarzy ale i niemieckich granatników, miotających pociski chyba gdzieś z okolic ulicy Polnej. Odłamki z pocisków granatnika do dziś tkwią w drewnianych futrynach od podwórka.

Woda stawała się co raz cenniejszym towarem, na tyle atrakcyjnym, że służyła naszej Mamie jako honorarium za wizytę z dziećmi u lekarza. Stawką była półlitrowa butelka wody ze studni.

### *Krowy, stawanie w futrynie drzwi za osłoną grubego muru*

W czasie Powstanie krowami nazywano niemieckie, wielolufowe, raketowe miotacze min, które przy odpalaniu ryczały jak krowy. Miedzy ryczeniem miotaczy min a dolotem pocisków i wybuchami, upływało kilkadziesiąt sekund, a może mniej, ale trwało to wystarczająco długo aby nasze młode nogi (Sylwia 11,5 lat, Marek 9 lat) mogły, po schodach, zanieść nas z podwórka, gdzie zwykle się bawiliśmy, na pierwsze piętro kuchennej klatki schodowej. Chowaliśmy się w drzwiach wejściowych do naszego mieszkania, gdzie grubość ściany z odrzwiami chroniła nas przed ewentualnym wybuchem i odłamkami. Bieganie taki odbywało się wielokrotnie w ciągu dnia, czasem w ciągu godziny, w zależności od intensywności ostrzału. Bomby ze sztukasów wydawały gwizd i można było w ostatniej sekundzie schronić przerażoną głowę i przytulić się do Babci Wakuliny. Baliśmy się w tych momentach okropnie, śmierć „stawała nam przed oczami” i straszliwy, nie do opanowania lęk dławił w takich momentach nasze serca.

Ale jak to dzieci; za chwilę w najlepsze się bawiliśmy i strach uciekał jak spłoszony wróbel.

### *Tam leży w bramie, kto? młotek*

Ostrzał naszego domu i bombardowania były co raz cięższe i zdarzył się wybuch chyba pocisku granatnika u nas na podwórku. Moment przed wybuchem ktoś pytał dozorcę Pana Jana o młotek.

Kiedy po wybuchu opadł pył i wszyscy się pozbierali, Pan Jan odparł: „tam, leży w bramie !”. Na to sąsiadka rozzwierającym głosem: „Kto ? kto?”. Na to Jan: „no młotek”. Olbrzymia ulga i wszyscy się uśmiechali do rozpuku.

### *Bieganie z ulotkami i zbieranie łusek*

Nasza Mama ciągle w jakiś sposób działała w AK i czasem zabierała nas podkopami by roznosić ulotki, zwłaszcza, że była to okazja odwiedzenia Babci Duszki, matki naszego Ojca, na ul. Śniadeckich pod nr 11. Prawie całą drogę z Mokotowskiej 5 na Śniadeckich szło się pod ziemią, przejściami przebijanymi w piwnicach sąsiadujących ze sobą domów, na przykład między Mokotowską 5, 7 i 9, przy barykadach na Jaworzyńskiej i Placu Zbawiciela, piwnicami na Marszałkowskiej do rogu Pięknej i Koszykowej, gdzie była w czasie wojny cukiernia Pomianowskiego. Pamiętam, że gdzieś w tych okolicach widzieliśmy rozlatującą się od uderzenia bomby wielopiętrowa, secesyjną kamienicę na Marszałkowskiej.

Podczas wypraw i przemykania się z Mamą tunelami i barykadami, jedyne co zaprzętało moją głowę było zbieranie łusek po wystrzelonych nabojach. Niektóre były gorące i parzyły ale nic mnie nie mogło zniechęcić do zbierania ich i chwalenia się przed kolegami. Tylko zdecydowane kuksańce Mamy przywoływały mnie do porządku. Łuski oczywiście były niezwykle lichym łupem demonstrowanym podczas ukradkowych spotkań z młokosami-powstańcami zabawiającymi się w żonglerkę granatami – filipinkami. Jeden z nich, Janek, syn Pani Chruścielowej z 3-go piętra był naszym bohaterem, a jego filipinki przedmiotem westchnień.

Ale nawet bezgraniczny mój zachwyty nie uchronił Janka przed blamażem kiedy zbiegając z pożyczoną od Babci wagą zwałił się ze schodów. Brzęk mosiężnych szalek i hurgot niezliczonych odważników po drewnianej kuchennej klatce schodowej dźwięczy mi w uszach do dzisiaj.



### *Kartoflanka*

Doskwierający głód skłaniał do opowiadania, co to by się nie zjadło gdyby żarcia było w bród. Razu pewnego sublokator Baobab ubawił nas szczegółowym opisem przyrządzenia wielkiego gara wyśmienitej kartoflanki na boczku (co za zapachy!) i świetną puentą.

- „A jak by pan skończył już tę wyśmienitą kartoflankę to kogo by pan poczęstował Panie Baobabie ?”

- „Poszedł bym na trzecie piętro, postawił na brzegu schodów i kopnął bym gar tej cholernej kartoflanki na sam dół”

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i docenili zawadyjackość Pana Baobaba, w końcu zdobywcy małej Pasty i syna ruskiej kniahini.

### *Pani Buze z nad klozetów, piesek,*

Od podwórka, na pierwszym piętrze nad toaletą - WC, która niegdyś była ogólnodostępna jak w każdej prawie kamienicy, mieszkała pani Bu. Przez niesforne dzieci była nazywana „pani Bu. z nad klozetów”. Spokojna pani przechadzała się z pieskiem na spacer i tyle właściwie o niej wiedzieliśmy.

Gdy głód już natrętnie dawał się we znaki, pewnego dnia pani Buze zaczęła się dopytywać czy ktoś nie widział jej pieska.

Wkrótce na sznurku na podwórku pojawiła się skóra z sierścią biednego pieska. Rozpaczy i lamentów było co niemiara, nikt się nie przyznał ale zaczęto szeptać, że piesek po prostu został zjedzony. Nikt nie podejrzewał panią Bu., która pieska kochała i bardzo rozpaczała, ale sprawca nigdy nie został ustalony. Nikt z resztą w nawale codziennych trosk i niebezpieczeństw tak naprawdę sprawą tą się nie zajął. A i współczucie było wyraźnie ograniczone.

### *Ćwiartka masła za „świnke”*

Jakim sposobem w czasie Powstania, w walczącej Warszawie działał szmugiel, przemysł i czarny rynek żywności tego pewnie nikt nie badał ale faktem jest, że Mama widząc nas owrzodziały z niedożywienia i awitaminozy, zdecydowała się uszczuplić aktywa rodzinne chowane „na czarną godzinę”, wyciągnęła złotą pięćdziesiątkę zwaną „świnke” i kupiła za to ćwiartkę masła. Masło nie było topione ani solone, więc jakoś do powstańczego handlu dostać się musiało z zewnątrz. Z gospodarstw na przedmieściach Warszawy ? A może od wraźego wojska, które nieprzekupne nie było? Ale co tam, podpłomyki z masłem to była pycha.

### *Herbata z palonej marchwi – ersatz*

Na Mokotowskiej 7 (a może 9 ?) funkcjonowała za Niemca wytwórnia różnych namiastek kawy i herbaty. Kawę stanowiła cykoria i chyba żołądźce a herbata, nawet dość przyzwoicie paczkowana, wyrabiana była z odpowiednio palonej marchwi. Miała kolor brunatno-marchwiany i serwowana była w wiórkach, które mogły przypominać herbatę. Pożytek z niej do picia był niewielki ale nasza Babcia Wakulina, będąca namiętą palaczką papierosów, przyciśnięta głodem nikotynowym, używała tej „herbaty” do wytwarzania skrętów. Podpalała sobie nieco w ukryciu i myślę, że więcej zaspakajała swe obyczaje i obrządku ruchowe typowe dla palaczy, bo nie wierzę, że to co paliła, w jakikolwiek sposób przypominało tytoń.

### *Zrzuty i szpinak*

Jak wiadomo w czasie Powstania dokonywano nad Warszawą lotniczych zrzutów z zaopatrzeniem. Pamiętam jeden dokonany w ciągu jasnego dnia, przez dużą eskadrę alianckich wielosilnikowych samolotów. Na widok aliantów, a przypuszczano, że są tam także polscy lotnicy, wybuchł entuzjazm i nieopisana radość. Samoloty leciały w szykach na dużej wysokości a Niemcy pruli do nich z czego się dało. Kiedy zobaczyliśmy spadochrony serca nam zabiły mocniej bo przecież mówiło się, że może przylecą polscy spadochroniarze. Kiedy wśród opadających spadochronów pojawił się rój obłoczków z wybuchów pocisków przeciwlotniczych, radość przerodziła się w rozpaczliwy strach, że wszystkich naszych pozabijają. Dopiero jak spadochrony opadły niżej i zaczęły znikać przysłonięte dachami, zaczęliśmy pojmować, że podłużne kształty uciepione do spadochronów to nie nasi żołnierze ale po prostu pojemniki z zaopatrzeniem. Celność tego zrzutu była niewielka (dowiedzieliśmy się o tym po wojnie), ale i tak na nasze podwórko spadł rój puszek, jak się zaraz okazało ze szpinakiem.

Nigdy mi żaden zniechęcony przez dzieci szpinak tak nie smakował jak wtedy. I naprawdę, jak za dotknięciem czarodziejskiej różyczki, szpinak mi smakuje do dzisiejszych dni nadzwyczajnie.

### *In zwanzig minuten alles raus*

Fakt, że w czasie Powstania przebywaliśmy akurat na Mokotowskiej 5 można przyrównać do urodzenia się w czepku. Dom nasz przez cały czas był w rękach polskich, był tylko lekko uszkodzony, wszyscy żywi i zdrowi, cała rodzina była razem (poza Ojcem, który od początku był na zachodzie).

Tak więc i kapitulacja Powstania zastała nas wprawdzie w głębokim smutku ale przebiegała dla nas stosunkowo spokojnie. Przyszedł niemiecki żołnierz i powiedział „In zwanzig minuten alles raus” i było po wszystkim. Dobytek całego życia opuściliśmy w te dwadzieścia minut. Mama przewidująco zakopała w piwnicy srebrne rzeczy i pamiątki, podobnie jak wszyscy znajomi. Ubrała nas w koszule Ojca (bo duże i ciepłe), wzięła do walizek najpotrzebniejsze rzeczy i resztki jedzenia, tylko tyle ile mogły unieść z Babcią. Nie wzięła słoika z konfiturą poziomkową, którą Babcia jeszcze zamelinowała, bo za ciężka, no i w momencie opuszczania mieszkania Babcia dała nam dwie łyżki i powiedziała: „jedzcie dzieciaki, co zjecie to wasze”.

Było nas pięcioro, Mama z dwojgiem dzieci (9 i 11,5 roku), Babcia Wakulina i przyszywany dziadek Warzewski, stary i słaby.

### *Miny z wiatraczkami*

Wychodząc po Powstaniu z Warszawy, szliśmy z ulicy Mokotowskiej w kierunku placu przed Politechniką brzegiem Pola Mokotowskiego, wzdłuż ulicy Polnej. Dostaliśmy od Mamy ścisłe instrukcje, aby nie podnosić z ziemi żółtych, niewielkich wiatraczków wyglądających jak zabawki, bo były to małe miny, zrzucane z samolotów, przeciw ewentualnej penetracji powstańców i ludności na Pole Mokotowskie pozostające w rękach Niemców.

Ustrzeżliśmy się kontaktu z tymi „zabawkami”, ale za to miałem pierwszy w życiu kontakt z ludzkim trupem, mocno w stanie rozkładu, leżącym między bruzdami na polu. Szok był wielki, a wspomnienie i obrazy pozostały.

### *Budyń i woda*

Szliśmy wśród tłumy innych mieszkańców, często gęsiego, gdy trzeba było przechodzić przez wyrwy w barykadach. Jeden pan niósł oburącz pudełko od butów. Przechodząc przez

barykadę, człowiek idący przed nim zachwiał się i plecami zgniół pudełko na jego piersi. Z pudełka wydostała się gęsta masa ugotowanego budyniu. Jedyne co temu panu z pudełkiem zostało jeszcze do jedzenia i co niósł jako prowiant na drogę. Sam krochmal ale lepsze to było niż nic. Awantura była okropna.

Drugi pan niósł otwarte wiadro z wychlapującą się wodą, a na uszczypliwe uwagi innych oznajmił dumnie: „Pruszków SOS o wodę woła! Giełdę będę robił!”

### *Wrogi chleb*

Na placu przed Politechniką stali niemieccy żołnierze i rozdawali chleb i zbożową kawę. Jeden z nich wyciągnął do mnie rękę z pajdą chleba, ale ją odtrąciłem. Mama okropnie się złąkla i trochę mnie zrugła w obawie przed wrogą reakcją Niemca. Taki był poziom patriotyzmu u małego, 9-cioletniego gnojka, którym wówczas byłem

### *Dworzec Zachodni i buty*

Dowleliśmy się do Dworca Zachodniego i Niemcy umieścili nas w podziemnych przejściach pod torami. Było nawet dość przytulnie bo nie wiało i nie padało na głowę. Spędziliśmy tam jedną lub więcej nocy na betonowej podłodze oparci o ściany.

Nagle w ciszy nocnej rozległy się rozpaczliwe krzyki pana opartego o przeciwległą ścianę tunelu, który na wyciągniętych nogach miał przyzwoite, brązowe trzewiki. „Jezus, Maria – krzyczał - moje buty, co ja zrobiłem, dobrze mi tak, złakomiłem się na buty klienta bo byłem pewny że już nie przyjdzie, a w moich starych miałem w obcasach ukryte złote dolary. O ja nieszczęśliwy, dobrze mi tak bo ukradłem klientowi buty, o Jezu, straciłem dorobek całego życia”. Był to szewc prowadzący zakład na Mokotowskiej.

Mimo współczucia wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdyż absurdalność i komizm sytuacji był tak duży, że przeważał nad uczuciami zagrożenia i poniewierki.

### *Podróż w nieznane*

Z Dworca Zachodniego trafiliśmy do Pruszkowa, gdzie Niemcy przeprowadzali selekcję ludzi zdolnych do robót na terenie Rzeszy. Z reguły byli to wszyscy mężczyźni (oprócz starców) i młode kobiety bez dzieci. Jedna Pani chciała wypożyczyć któreś z nas dzieci, na moment selekcji, gdyż brakowało jej dziecka dla młodej siostry ale Mama odmówiła, bo bała się że Niemcy zabiorą Babcię na roboty. Dziadek był starszy, więc takich nie zabierali. Tak więc w końcu rozdzieliliśmy się do przejścia przez selekcję; Mama z jednym dzieckiem, Babcia i Dziadek z drugim. Zaraz po selekcji się połączyliśmy, zostaliśmy załadowani do bydłowego, odkrytego wagonu towarowego. Było z nami w tym wagonie ok. 30 osób, więc było dość tłoczno.

Pociąg zagwizdał i ruszyliśmy. Po mijających stacjach zorientowaliśmy się, że jedziemy w kierunku południowym. Wkrótce rozhisteryzowana pani wymyśliła, że wiozą nas do Oświęcimia. Zaczęły się modły i pieśni religijne, a grozę powiększał fakt, że jeden z „pasażerów”, starszy pan, w międzyczasie zmarł i leżał przykryty czymś w kącie wagonu. Jechaliśmy tak 3 dni i noc, na szczęście mało padało. Załatwiało się do rondla z rączką a zawartość wystukiwało się o wysokie burty wagonu. Wyglądać z wagonu było niebezpiecznie bo pilnowali nas uzbrojeni strażnicy w wagonach z budkami z przodu i tyłu pociągu. Tym niemniej ludzie ciągle wyglądali i kierunek jazdy rzeczywiście jakby potwierdzał perspektywę wylądowania w Oświęcimiu.

Jak momentami pociąg się zatrzymywał, nawet w polu, okoliczni mieszkańcy podchodzili do wagonów i mimo gróźb strażników wspinali się na burty i dawali nam lub sprzedawali wodę.

Żadne zaopatrzenie przez organizatorów transportu nie było przewidziane. Wyglądało to rzeczywiście jakby wieźli nas do gazu.

### *Jędrzejów i doktor M.*

Trzeciego przedpołudnia pociąg zatrzymał się na stacji w Jędrzejowie. Niemcy wypędzili nas z wagonów na otwarte perony dworcowe i już więcej nami się nie interesowali. Pociąg odjechał.

Na peron zaczęli przybywać mieszkańcy Jędrzejowa, zaciekawieni i chętnie ofiarujący pomoc. Staliśmy trochę bezradnie, cała nasza piątka, Mama, dzieci i dwoje dziadków, kiedy nagle ktoś zawołał : „Pani Wakulska, ależ Pani Wakulska co za zrządzenie losu !” Okazało się, że jest to doktor M., ordynator szpitala w Jędrzejowie, który zaraz zabrał nas do swojego domu i uraczył kawą z mlekiem i chlebem z masłem i kiełbasą. Pierwszy raz jedliśmy normalnie od przeszło dwu miesięcy.

Doktor M. rozpoznał Babcię Wakulinę bo był u jej matki na stacji w Krakowie jako młody chłopiec. Prababcia po stracie męża podczas pierwszej wojny światowej, aby zarobić na utrzymanie pięciorga dzieci wydawała eleganckie obiady w Krakowie. U doktora M. mieszkaliśmy kilkanaście dni, aż Mama wychodziła od miejscowych władz mieszkanie po wywiezionym krawcu żydowskim. Jednoizbowy zakład krawiecki na parterze, z obszerną piwnicą, do której schodziło się przez klapę w podłodze, na rogu ul. Wodzisławskiej (nr 8) i drogi prowadzącej z rynku w kierunku Krakowa. Lokal ten, z małymi schodkami z chodnika na rogu, istnieje do dziś. Ile razy mijam go jadąc samochodem do Krakowa wspomnienia wracają.

U Pana Doktora M. leczylismy wrzody, które występowały zwłaszcza na kończynach. My dzieci, obsikiwalismy mu regularnie materace i sienniki podczas snu. Mama była okropnie skonfundowana tą sytuacją a my zawstydzeni, ale Doktor M. tłumaczył cierpliwie Mamie i Babci by nas nie strofowała i mówił, że wynikało to z przeżytego stresu. Może to i z tego wynikało, ale po naszym zachowaniu chyba tego nie było widać, bo dokazywalismy, jak zwykle, okropnie.

Cała piwnica po żydowskim krawcu była wypełniona ścinkami materiału. W tych ścinkach zaległy się pchły w ilościach trudnych do wyobrażenia. Mama razem z nami pewnie z tydzień wynosiła te skrawki, wszyscy bez przerwy się drapalismy, ale nie było innego sposobu aby pozbyć się tych uciążliwych lokatorów. W końcu piwniczka została opróżniona, wydezynfekowana i zagospodarowana a my mieliśmy w końcu własne schronienie. Po wodę chodziło się z kubłami do pompy na rynku.

W kilka miesięcy później, wczesną zimą 1944 r., Mama i Babcia odszukały rodzinę w Krakowie, to znaczy Ciocię Zosię (siostrę męża Babci i jednocześnie żonę brata Babci, Tolka), na ulicy Rajskiej, niedaleko Karmelickiej. Przenieśliśmy się do Cioci Zosi, do jednego pokoju, bo w ogóle miała tylko dwa, ale za to bardzo duże.

Ciocia Zosia była Dyrektorką XI Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Józefy w Krakowie i czytała nam każdego wieczoru, jak byliśmy już w łóżku, jedną księgę z Pana Tadeusza. Byliśmy szczęśliwi. Ciocia czytała bardzo ładnie a w naszej wyobraźni przewijała się jak piękny film opowieść o Tadeuszu, Zosi i Telimienie, Jankielu, o ostatnim zajeździe na Litwie. Wspominalismy to później oglądając film Wajdy.

## *Klub oficerski*

Jak tylko czołgi niemieckie, po zatankowaniu paliwa na stacji, którą widzieliśmy z okien na Rajskiej, opuściły Kraków, Mama wyruszyła na miasto w poszukiwaniu mieszkania. Jeszcze nie pojawiły się pierwsze czujki czerwonej armii i lotnictwo rosyjskie jeszcze bombardowało Kraków, kiedy Mama znalazła opuszczone, pięciopokojowe mieszkanie, niemieckie kasyno oficerskie z gołymi babami namalowanymi na ścianach i dwoma pianinami (róg Karmelickiej i Słowackiego) . Baby zostały zamalowane żeby nie gorszyć maluczkich, pianina były jak znalazł, po przeciwieństwie dzieci, jak wiadomo, muszą mieć lekcje muzyki, więc było fajnie. Ciocia Zosia mogła w końcu nieco odetchnąć.

Wprawdzie po wejściu wojsk radzieckich dokwaterowano nam kilku rosyjskich „regulorowszczyków” ze starszyną na czele, ale nie było z nimi kłopotu. Pewnie dlatego, że przyprowadził ich szarmancki lejtnant (nie do wiary !), który ucałował obie panie w rękę, zagrał jakąś dumkę na pianinie i zaśpiewał, wyciągnął wódkę by wypić po jednym z Paniami. Straszynie przykazał, że jak starsza pani „Mamasza” zgłosi jakieś skargi, to im nogi z dupy powyrywa. Mieszkali kilka tygodni i rzeczywiście był spokój, poza jednym incydentem z krową.

Kiedy pierwszego wieczoru przyszli na kolację do „Mamaszy” Babci Wakuliny, Babcia, nie czekając na lejtnanta, okropnie ich obręgała i przykazała, że jeśli ma im coś przygotować do jedzenia, to muszą zapewnić prowiant nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla tych biednych „rebionków” wymęczonych przez powstanie i wojnę. Za parę godzin przywieźli ciężarówką „ZIS-piac” zastrzeloną krowę, w całości. Kiedy przynieśli uciętą krowią głowę do Babci do kuchni, z oczyma, uszami, sierścią i żółtymi zębami, mówiąc „masz Mamasza na rosół”, myśleliśmy że Babcia ich pozabija. Nawymyślała im od prostaków i w efekcie krowę oprawili na podwórku, przynieśli kawał porządnego mięsa, a resztę poćwiartowanej i oprawionej krowy Babcia kazała im wrzucić do wanny. Jak za kilka dni resztki krowy się zepsuły i Babcia myła wannę, to jeden młody Kazach czy inny śniady mieszkaniec radzieckich stepów, zaglądał pod wannę, sprawdzając gdzie też ta spływająca wodą się podziewa.

## **PO WOJNIE**

### *Złocene łyżeczki*

Po zajęciu Krakowa przez oddziały rosyjskie i po zajęciu Warszawy, Mama zostawiła nas na parę dni z dziadkami i pojechała jednym z pierwszych pociągów do Warszawy zobaczyć co się dzieje z naszym mieszkaniem i dobytkiem. Podróż pociągiem trwała chyba całą dobę i była przerywana wycieczkami pasażerów do lasu po drewno do parowozu. Mieszkanie na Mokotowskiej było ograbione, pewnie jeszcze przez ciurów niemieckich, sowiecką armię i przybyłych wraz z nią szabrowników. Dom na Mokotowskiej 5 nie był zniszczony a w mieszkaniu pozostały cięższe meble. Wszystkie kosztowności rodzinne zakopane w piwnicy zostały ukradzione a nieliczni przybyli tak jak Mama mieszkańcy, uświadomili Mamę jaka była technika kradzieży. Lano w piwnicach wodę i kopano tak gdzie szybko wsiąkała.

Wychodząc z łupami z piwnicy, złodzieje zgubili na schodach pudełeczko z sześcioma srebrnymi, złoconymi łyżeczkami do kawy. Mama odnalazła je i obecnie są przez nas używane przy uroczystych okazjach.

### *Srebrna taca*

Podczas tego pierwszego pobytu w Warszawie, Mama pragnąc kupić coś do zjedzenia na targu na Polnej zauważyła, że jedna z przekupek nabiera ziemniaki naszą srebrną, kutą tacą.

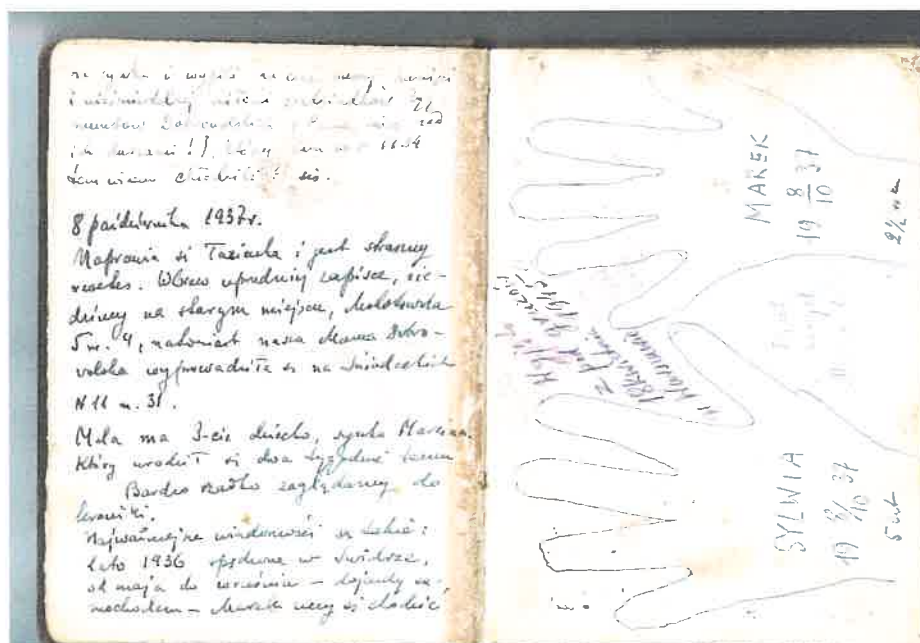


Powiedziała jej to, a na jej zachęcenie poinformowała ją, że zna dokładny ciężar tacy : 96 dekagramów. Przekupka rzuciła tacę na wagę i bez słowa oddała ją Mamie.

Mama, ucieszona i zaskoczona nie zapytała już przekupki skąd tę tacę ona ma.



Rys. 11. Srebrna taca i pozłacane łyżeczki odzyskane przez Mamę po wojnie podczas pierwszej podróży do Warszawy



Rys. 12. Pamiętnik Rodziców znaleziony przez Mamę w wyszabrowanym mieszkaniu na Mokotowskiej 5.